

# Stanisław Mikke

---

## Czas detektywów

---

Palestra 39/3-4(447-448), 146-148

---

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



---

STANISŁAW MIKKE

## Czas detektywów

Coraz częściej mówi się o tym, że na salach sądowych pojawiają się w charakterze pełnomocników stron... pracownicy różnego rodzaju agencji detektywistycznych.

Rozmawiałem niedawno z przewodniczącym jednego z wydziałów sądu gospodarczego, który potwierdził, że takie praktyki nie są co prawda nagminne, lecz mają miejsce. Niektórzy sędziowie widząc podobne pełnomocnictwa reagują stanowczo, inni jednak dopuszczają owych detektywów do udziału w procesie opierając się na artykułe 87 § 1 k.p.c. nie wnikając, czy rzeczywiście osoba reprezentująca stronę może choćby uprawdopodobnić, iż „sprawuje zarząd majątkiem lub interesami strony” albo pozostaje „w stałym stosunku zlecenia”, w zakres którego wchodzi sprawa.

Jak wiadomo detektywi odznaczają się raczej innymi walorami niż wiedza prawnicza i ich występowanie w sądach

do powagi wymiaru sprawiedliwości na pewno nie przyczynia się. Fakt jednak faktem, iż przedstawiciele tej profesji dynamicznie – jak to niektórzy mówią – wkraczają w „nowe obszary” życia społecznego.

Koncesje na szeroko rozumiane usługi detektywistyczne dostało około 13 tysięcy. Ile ich działa, nikt nie wie (!), albowiem nawet wiceprezes Krajowego Związku Pracodawców Agencji Ochrony Osób, Mienia i Usług Detektywistycznych podaje (w styczniowym numerze z br. miesięcznika „Businessman”) liczbę 5 do 7 tysięcy. Z tego wynika, że nie ma żadnego obowiązku zrzeszania się tych szczególnego rodzaju firm, a tym samym nie podlegają one żadnej kontroli prócz formalnie istniejącemu nadzorowi MSW, które nie daje sobie rady – co dla nikogo nie jest tajemnicą – z bardziej podstawowymi obowiązkami. Resort ten, jak w tym samym czaso-

piśmie przyznaje wicedyrektor Departamentu Administracyjnego dopiero pracuje nad szczegółowymi unormowaniami prawnymi dotyczącymi działalności tych agencji.

No cóż, nikogo to już u nas nie dziwi, zdołaliśmy do tego przywyknąć, że najpierw podejmuje się jakieś decyzje, a później długo rozmyśla się nad prawnymi uregulowaniami.

*Na razie tworzą się precedensy – czytam w „Businessmenie”. – Jedna z poznańskich prokuratur oddała skargę dyrektora „Elektromontażu – Zachód na najście detektywów wynajętych przez szefa „Hydropolu”, ponieważ, jej zdaniem, ochroniarze nie przekroczyli prawa; nachodzenie dłużnika i wywierania na niego presji, jeśli nie jest połączone z agresją fizyczną, (podkr. S. M.) stanowi bowiem prawnie dopuszczalną formę samopomocy.*

Niektórzy jak czytają lub słyszą o podobnych koncepcjach, mówią, że trzeba stąd uciekać. Byle daleko. Najlepiej do Australii.

Innych rad udzielali mi koledzy, gdy powiedziałem o tym, że mają mi złożyć wizytę detektywi w związku z prowadzoną przeze mnie sprawą. Moi klienci, byli nachodzeni w domu, w różnych, najczęściej późnowieczornych godzinach, przez dwóch roślących typów z agencji detektywistycznej. W końcu im wyjaśnili, że w sprawie udzielili pełnomocnictwa adwokatowi, Na ich pytanie podali moje nazwisko, adres kancelarii i godziny przyjęć. Detektywi odparli wówczas, że przyjdą sobie ze mną porozmawiać.

Muszę się przyznać, że z pewnym zaciekawieniem oczekiwałem tej wizyty. I któregoś dnia weszło do mego

pokoju troje ludzi. Kobieta i dwóch mężczyzn. Z rozpoznaniem detektywa nie miałem trudności. Mięśnie odwodziły mu tak dalece ręce od tułowia, że wyglądał jak kowboj przygotowany do sięgnięcia po rewolwery. Pominę już opis jego twarzy.

Miałem kłopoty z zachowaniem powagi, gdy ten mężczyzna-szafa wyjął legitymację agencji detektywistycznej DEX i nieporadnie rozpoczął rozmowę. Trwała krótko. Zapytałem bowiem, czy wie, że przyszedł do adwokata, i czy na pewno on sam i jego szef są zorientowani co do własnej profesji oraz wynikających z niej kompetencji. Nie moge złego słowa powiedzieć o dalszym zachowaniu osiłka. Przeprosił, wstał i wyszedł zabierając ze sobą zleceniodawców. Akurat w tej sprawie finał był pocieszający. W imieniu tamtej strony pojawił się rzetelny adwokat – kobieta, która swoim klientom wybiła z głowy zarówno detektywów, jak i wdawanie się w spór sądowy z góry skazany na ich przegraną. Jednak próba podjęcia jakichś negocjacji z adwokatem przez detektywa jest już dostatecznie wymowna.

Ostatnio natomiast miałem przyjemność z przedstawicielem zbliżonej profesji. Wchodzę sobie do warszawskich sądów przy Alei Solidarności i dostrzegam przy drewnianym płotku zawężającym wejście do gmachu, niskiego chłopaka o bladej twarzy, z radiotelefonem w rękę. Zajrzał mi w oczy, później zerknął na nieco wypełnioną teczkę. Nie ulegam walizkowo-neseserowej modzie i może z tego powodu ta przygoda? Chłopak z ofoliowaną plakietką pracownika ochrony w klapie skierował ponownie wzrok na moją twarz i zastępując mi drogę ostro zapytał: – *A pan w jakiej tu sprawie?*

Pisząc o tym nie chcę dać do zrozumienia, że bagatelizuję sprawę ochrony sądowego budynku, gdzie spędzam sporą część mego życia, które jest mi jeszcze miłe. Uważam, że gmach ten winien być dobrze chroniony, jak to ma miejsce w przypadku wielu sądów na świecie.

Każdy kto był w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu wie, że wejście do niego jest poprzedzone szczegółową kontrolą. Podobnemu sprawdzeniu zostałem poddany, bez pytania jednak, w jakiej sprawie się udaję, a poszedłem w celach poznawczych, w sądzie karnym w Hamburgu. Był to kulminacyjny czas działalności Czerwonych Brygad. Tam funkcjonariusz Policji z profesjonalną wprawą i jednocześnie z kulturą przejrział zawartość mojej turystycznej torby i za pomocą urządzenia elektronicznego upewnił się, czy nie mam przy sobie jakiegoś niebezpiecznego przedmiotu. A potem zapewne kamery kontrolowały moje i innych zachowanie.

Tymczasem w warszawskich sądach oprócz pracujących stale umundurowanych i niewykwalifikowanych oraz często zmieniających się strażników, zatrudniono do ochrony chłopców – często nie tylko źle ubranych, ale i słabego odżywienia. Jakoś też tak dziwnie się złożyło, że

w większości mają wzrost poniżej średniej europejskiej. Spacerują sobie po sądowych korytarzach lub podpierają ściany. Ich brak jakiegokolwiek zawodowego przygotowania dla każdego rzuca się w oczy. Wyglądem też nie zapewniają efektu odstraszającego. Naprawdę nie poważna to ochrona. A chyba wszyscy już zauważyli, że po warszawskich sądach i w pobliżu budynku coraz częściej kręcą się hałaśliwe grupy oprychów, zajeżdżających nierzadko luksusowymi samochodami. Przepuszczalnie na jakiś poważniejszy incydent w tej sytuacji nie trzeba będzie długo czekać. Obym się jednak mylił.

Natomiast humorystyczne bardziej niż przykre zdarzenie przy wejściu do sądów, skłoniło mnie do innych jeszcze rozważań. O własnym wyglądzie. Czyżbym dopracował się aparycji jakiegoś podejrzanego typu? A może – zaświtała, na granicy snu, przyjemna myśl – wyglądam tak młodzieńczo, że chłopakowi, którego postawiono na sądowej bramce do głowy nie przyszło, że mogę być już adwokatem. W tak podniesionym nastroju rozmyślałem, że ten optymizm trzeba będzie zweryfikować w innych okolicznościach – w oczach jakiejś interesującej dziewczyny.

*P.S. Środki masowego przekazu podały, że 10 marca br. w budynku krakowskich sądów eksplodowała bomba.*